

Barier konkurencyjności

7.

Z perspektywy problemów konkurencyjności polskiej gospodarki chodzi tu raczej o ukierunkowanie refleksji nie na opis (diagnozę) stanu rzeczy w zaproponowanym przez premiera wymiarze „tu i teraz”, lecz wskazanie przyczyn tkwiących w specyfice polskiego systemu politycznego, struktur administracyjnych państwa i kwestii im pochodnych, które to „tu i teraz” determinują.

Mam tu szczególnie na myśli kontekst kulturowo-społeczno-edukacyjny, charakterystyczny dla generacji pokoleniowej rządzącej dziś Polską, zarówno tych stojących na pierwszej linii medialnego ognia, jak i podejmujących decyzje w zaciszu urzędniczych gabinetów.

Podzielając generalnie słusność argumentu odnoszącego się do „nieprzyjazności” prawa, które utrudnia działalność gospodarczą w Polsce, chciałbym się odnieść do kilku propozycji i opinii przedstawionych przez Macieja Bukowskiego i Piotra Rymaszewskiego („Eko+” z 10 grudnia).

Moim zamiarem jest jednocześnie zaakcentować, że racjonalność ekonomiczna – ukierunkowana na efektywność i optymalizację procesu – zwykle różni się z racjonalnością polityczną, która jako priorytet stawia utrzymanie spokoju społecznego i zachowanie władzy.



Analizując ten problem w oparciu o pewne modelowe ramy, należy zauważyć, że poparcie wyborcze zależy w pierwszej kolejności od zdominowania medialnego przekazu informacjami o działaniach i zaangażowaniu rządu oraz podmiotów mu podlegających na wszystkich odcinkach frontu walki o modernizację.

W przeciwnym wypadku powstałoby zagrożenie, że opozycja polityczna zacznie akcentować ich bierność i nieróbstwo. Wtórna racjonalizacja podjętych decyzji, wyobrażanych politycznie jako obiektywnie słuszne i niewymagające politycznej debaty, jeszcze bardziej ten trend umacnia.

Mateusz Matyszkowicz w zbiorze esejów „Śmierć rycerza na uniwersytecie” trafnie wskazał, że polityka jest najczęściej działaniem w amoku, z niedostateczną ilością informacji i bez świadomości skutków. Przestrzega on przed językiem konieczności najbardziej lubianym przez biurokratów, dlatego nigdy/wciąż niezrealizowana tęsknota za rządami rzekomo apolitycznych technokratów, która wydaje się prostą receptą na nieudolność rzą-

dzących, jest nader niebezpieczną koncepcją.

Bukowski i Rymaszewski zaledwie prześlizgują się po kwestii historycznie złego prawa, a to właśnie przebieg jego tworzenia i zaangażowane weni podmioty i reprezentowane przez nie interesy stanowią istotę sporu o strukturalne bariery rozwoju i wzmacnianie konkurencyjności gospodarki. Akcentowany przez autorów czasochłonny ceremoniał pełnienia funkcji kierowniczych i podejmowania decyzji to kwestia w większości znanych przypadków wciąż głęboko zakorzeniona w PRL, gdzie awans zawodowy przebiegał według pseudoideałów wierności i mierności.

Ta biurokratyczna tradycja tkwi głęboko w elitach politycznych. Dość stwierdzić, że najważniejsze obecnie osoby w państwie są z wykształcenia historykami... A jakkolwiek inicjatywa burząca zbudowane z mozołem urzędnicze status quo natrafia na ciche, niewyrażony, lecz niezwykle skuteczny opór.

W takim stanie rzeczy potrzeba albo niewyobrażalnej niezłomności, determinacji i hartu ducha, by realizując własną wizję, wypchnąć system z torów inercji, albo pogodzić się z tym, iż administracja jako grupa interesu i potencjalny elektorat też ma swoje prywatne i zawodowe racje. Co więcej,



BARTOSZ MICHALSKI

Transformacja gospodarki wciąż jest inspiracją analiz. Opinia Macieja Bukowskiego i Piotra Rymaszewskiego wpisuje się w te rozważania, ale wymaga rozwinęcia i polemiki

zamierza ich twardo bronić i z tego powodu mechanizmy decyzyjnej przejrzystości, rozliczalności i profesjonalnego egzekwowania odpowiedzialności schodzą na dalszy plan lub są po prostu niewygodne.

Demokratyczność procesu wyborczego czyni więc racjonalność polityczną kwestią o pierwszorzędym znaczeniu. Teoretycznie mamy tu do czynienia z klasycznym błędem złożenia – racjonalność na poziomie mikro-ekonomicznym nie przekłada się na racjonalność systemową, w wymiarze makro.

Dodatkowo należy także uwzględnić utrwalone przez 20 lat transformacji społeczno-polityczne przekonanie, że i tak reprezentanci biznesowego

lobby od zawsze narzekają na nieprzyjazność i nieprzystawalność przepisów, a mimo to osiągają satysfakcjonujące wyniki.

Prof. Marek Góra zauważył przed ponad trzema laty („Rz” z 30 marca 2007 r.), jak głęboko europejskie społeczeństwa – a ten trend nie omija i Polaków – zinternalizowały istnienie państwa jako źródła dochodu.

Nawet odniesienie do kultury popularnej (zob. Kazik Staszewski „2 000 000 głosów”) potwierdza, że „ludzie chcą pieniądze mieć, a nie pracę”. To jest współczesny fenomen i zarazem bariera konkurencyjności, który wymaga pogłębionych badań nad kształtowaniem się współczesnego etosu pracy i opracowania – jeśli to w ogóle możliwe – skutecznych środków zaradczych.

Zmiana postaw/strategii życiowych (a ściślej rzecz ujmując, ich prywatyzacja) jest jednak procesem powolnym, co jest szczególnie niebezpieczne w obliczu pożądanych zmian strukturalnych w krótkim i średnim okresie. Bez należytej akceptacji i zrozumienia nie będzie politycznego zielonego światła dla wdrożenia ambitnych, rzeczywistych i pewnie też bolesnych społecznych reform.

Barierą biurokratyczno-administracyjną, o których piszą Bukowski i Rymaszewski, wynikają także z braku

drugiej grozi nam poważne spłylenie wiedzy o bardziej złożonych wyzwaniach rozwojowych.

Nawet jeśli mieliśmybyśmy kompetentnych polityków i urzędników oraz formalnie dobrze wykształcone społeczeństwo, lecz zbyt wąsko wyspecjalizowane i ograniczone w swoich horyzontach myślowych, przekroczenie Rubikonu konkurencyjności się nie powiedzie, głównie ze względu na niemożność znalezienia wspólnego języka i pewnego abstrakcyjnego poziomu debaty.

Nie jestem ponadto przekonany do pomysłu, że powinniśmy nadal stawiać na szeroki napływ zagranicznych inwestorów. Polityka w tej materii musi być bardziej selektywna.

Zamiast potężnych transferów publicznych kierowanych na programy oferujące korporacjom olbrzymie przysporzenia finansowe (to jest to, co autorzy eufemistycznie nazywają aktywnym arbitrażem legislacyjnym), pieniądze te powinny być kierowane na instrumenty aktywnej polityki rynku pracy – zakładając, że regulacje w tej materii staną się bardziej przyjazne dla potencjalnych beneficjentów – i promocję rodzimej małej i średniej przedsiębiorczości.

Jej rolę w gospodarce większość generalnie rozumie i z uznaniem znajduje (zwłaszcza w odniesieniu do kwestii tworzenia miejsc pracy). Nie ma to jednak pozytywnego przełożenia na ich codzienną walkę o przetrwanie zarówno w obliczu naturalnej rynkowej presji konkurencyjnej, jak i żyjącej swoim własnym życiem biurokratycznej dżungli.

Trudno mi przy tej okazji przywołać w pamięci którąś z ostatnich kampanii wyborczych, w której preszkoły dla funkcjonowania sektora MŚP byłyby jedną z kwestii o fundamentalnym znaczeniu. Wynika z tego, że ta grupa interesu jest wciąż zbyt słaba organizacyjnie i merytorycznie i tym samym nie stanowi silnego partnera w rozmowach z rządem i przedstawicielami różnych szczebli ogólnopaństwowej administracji. To właśnie powinien być jeden z fundamentów międzynarodowej konkurencyjności polskiej gospodarki.



Gdyby do tego, tak jak sugerują autorzy, całość tych pomysłów uzupełnić działalnością think-tanków związanych z różnymi środowiskami, można by realnie mówić o pogłębieniu poziomu merytorycznej debaty, co pozwoliłoby odbetonować scenę polityczną zarówno w wymiarze strukturalnym (dominacja tych samych partii i związanych z nimi twarzów), jak i ideowym (pomysły na Polskę).

Problem tkwi zapewne w ich samofinansowaniu oraz organizacyjnym i intelektualnym zapale ludzi w takie inicjatywy zaangażowanych, co stanowi z kolei odzwierciedlenie miejsca rozwoju społeczeństwa obywatelskiego, do którego wciąż nam raczej daleko.

Autor jest adiunktem w Instytucie Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Wrocławskiego. Artykuł wyraża prywatne poglądy autora